

JADWIGA GRZYB – DEPORTOWANA DO KAZACHSTANU

Speaker 1 (Marcin Bieńkowicz)

Proszę opowiedzieć o swoich korzeniach, gdzie się Pani urodziła, o rodzicach, o rodzeństwie.

Speaker 2 (Jadwiga Grzyb)

Urodziłam się na wsi, która nazywa się Palczyńce. Ta wieś była nieduża i znajdowała się w powiecie ...województwie tarnopolskim. Była to wieś nieduża, ale leżała dosłownie na granicy polsko-radzieckiej. W tej wsi byłam parę lat jako mała dziewczynka, Ojciec mój już wówczas pracował w policji państwowej. Mama nie pracowała zawodowo. Ojciec mój pracował w tej miejscowości, potem pracował w innych kolejnych miejscowościach był przenoszony na inne posterunki policji państwowej. Miałam brata, który straszy ode mnie o 3 lata, i młodszego ode mnie o 6 lat. Moja mama pochodził z tamtych stron, że wschodzi, urodziła się w pobliskiej wsi Toki. Była to duża wieś, położona na granicy polsko-radzieckiej, a ta granica była rzeka Zbrucz, która przebiegała pomiędzy wsią Toki a drugą wsią, która była po stronie radzieckiej. W tychże Tokach, były szczątki zamku książąt Wiśniowieckich. Ten zameczek był dość ciekawie położony, z boku był staw, dość duży, który łączył się z boku tą rzeką Zbrucz, która była rzeką graniczną. Mój Ojciec został swego czasu przeniesiony z tej miejscowości, w której się urodziłam, w której urodziła się moja mama. Został przeniesiony na Komendanta posterunku do Klebanówki. Bardzo ładna wieś, w której był majątek hrabiów Tyszkiewiczów. Mało, była bardzo ładna rzeka w tej wsi, bardzo ładnych las, których należał do hrabiów, Posterunek, do którego został mój tata przeniesiony był położony w majątku hrabiów Tyszkiewiczów. Była to duży dom z dość dużym ogrodem, ładnie otoczony parkanem drewnianym, sporo drzew wokół tego domu. W tym domu mieścił się posterunek policji a my jako rodzina mieliśmy w nim mieszkanie. W tej wsi była szkoła, 4 klasowa szkoła. Jako dziewczynka, która wcześniej poszła do szkoły - w szóstym roku poszłam do szkoły. Mój brat też poszedł do szkoły w wieku 6 lat. Nie żałujemy, że tak wcześnie poszliśmy do szkoły. Ta szkoła była pomocna, gdy w 1939 r, wybuchła wojna.

Tę Klebanówkę wspominam mile. Oprócz tej rzeki, wspominam łąki, las, pełen grzybów. No i tam był też cały pałac hrabiów Tyszkiewiczów, z pięknym ogrodem. Nie było tam kościoła. Kościół był we wsi Jacowce, tam był kościół. W Klebanówce nie było Kościoła, ale była cerkwie grecko-katolicka. Ponieważ taka prawda jest, że tam Polaków było znacznie mniej, w tej miejscowości nie było Kościoła. W Jacowcach było więcej Polaków i tam był kościół. Chodziliśmy do tego Kościoła. Ale w którymś roku Hrabina Tyszkiewiczowa wybudowała kaplicę. Kaplice rzymsko katolicką. Ta kaplica była dość ładna, pamiętam ją z sąd, że w chwili poświęcenia tej kaplicy, tam kwiatki rzucałam w czasie uroczystości poświęcenia tej kaplicy. Ale ponieważ w tej miejscowości była szkoła tylko z 4 klasami. Gdy brat skończył 4 klasy to nie było w tej miejscowości uczyć się wyżej. Mój brat w 5 klasie był umieszczony bardzo dobrze zorganizowanej i prowadzonej bursie policyjnej w Tarnopolu. To była bursa, płatna. O tyle ją wspominam i pamiętam, że to była bursa, w której brat przebywał cały rok. Tam chodził do 5, 6 klasy i do gimnazjum. Ponieważ innej możliwości w tej miejscowości, w której mieszkaliśmy nie było w tym czasie. Mama i Tata od czasu do czasu odwiedzali brata w tej bursie, to ja też kilkakrotnie też byłam. Pamiętam te bursę jako bardzo ładny budynek, pamiętam jak moi rodzice mówi o tym, a ja się przysłuchiwałam. Rodzice odwiedzali brata kilka razy w ciągu roku szkolnego. Bursa była bardzo dobrze zorganizowana, byli prefekci, którzy mieli obowiązek pilnowania tych uczniów, żeby dobrze uczęszczali do szkoły, żeby odrabiali lekcje, opiekowali się nad chłopcami, bo to była bursa tylko dla chłopców.

W czasie wakacji chłopcy mieszkający w bursie przyjeżdżali do domu.

W Klebanówce, ja także skończyłam 4 klasy szkoły powszechnej. Do piątej klasy nie chodziłam. Piątą klasę odbyłam w domu. Do domu przygodził nauczyciel, prywatnym, który uczuł mnie w domu. Dwa razy do roku jeździłam do Zbaraża i tam byłam przepytwana, był tam egzamin. Na podstawie tego egzaminu dostałam się do 6 klasy. Do 6 klasy chodziłam w Zbarażu.

Tak się złożyło, że mój Ojciec starał się o przeniesienie z Klebanówki do wsi blisko Zbaraża, która nazywała się Łubianki Wyższe. Była to wieś dość duża, też ładna, bo był niedaleko duży czarny las. Tak się nazywał las, bo ciągnął się on prawie od Zbaraża w stronę wschodu. Ojciec, po przeniesieniu się do Łubianki Wyższej zdecydował o przeniesieniu mego brata, który był już w gimnazjum w Tarnopolu, do gimnazjum, do którego ja uczęszczałam, to znaczy do gimnazjum do Zbaraża.

Było to gimnazjum bardzo dobre, gimnazjum państwowe im. Henryka Sienkiewicza. Mieściło się przy Kościele Klasztoru Ojców Bernardynów. Byli w tym gimnazjum tacy, którzy znani są. Gdy ja zaczynała gimnazjum to gimnazjum to kończył Kardynał Ignacy Tokarczuk, który jest w Przemyślu.

Cały budynek, w którym mieścił się Klasztor Ojców Bernardynów i nasze gimnazjum był otoczony takim grubym murem. W Zbarażu był zamek, który po wojnie polsko - bolszewickiej był już zniszczony. W 1939 r., jak ja go pamiętam, zaczęto go remontować. Ten zamek mieściła a takim pagórku. Jak Nasze gimnazjum mieściło się niżej, tak ten zamek książąt Wiśniowieckich był wyżej położony. Pamiętam jak my nieraz z tej górki zjeżdżaliśmy na nartach. Zresztą dzieci na sankach, na nartach często zjeżdżały tych pagórków zbaraskich. Samo miasto bardzo ładne, a gimnazjum przypominam sobie w jak najlepszym świetle. To było gimnazjum i liceum. I jak ja zaczynałam gimnazjum to Ignacy Tokarczuk już je kończył, był bardzo dobrym uczniem, takim znanym na całe gimnazjum, był prymusem tego gimnazjum. Dyrektorem gimnazjum był dyrektor Mazur, a oprócz tego byli nadzwyczajni profesorowie, a stwierdziłam to jako uczennica pierwszego roku gimnazjum. Gdy wybuchła wojna w 1939 r. byliśmy z bratem tylko kilka dni w gimnazjum, Część profesorów została aresztowana. Po wybuchu wojny gimnazjum przestało istnieć. Był w gimnazjum taki profesor, nazywał się Zalewski i pochodził z miejscowości Brzeżany, a jego kolega był Marszałek Rydz Śmigły.

Too też pamiętam ten dzień, kiedy Rydz Śmigły został Marszałkiem. A jego kolega był pan profesor Zalewski i całe gimnazjum o tym widziało i śpiewało piosenki legionowe.

Oprócz tego pamiętam moja profesorkę Wysocką, taka opiekunka naszej klasy, profesor Rakoczy był opiekunem klasy mego brata. Było profesowi: profesor Randes Breżanka, która uczyła niemieckiego, profesor Szaude, który uczył matematyki, profesor Hawryluk, uczył Łaciny, i gdy zaczął pierwszą lekcję, tego nie zapomnę wyrazi się tak Gaudeamus Igitur, abyśmy wszystko od pierwszej klasy wiedzieli, że tak się w szkole śpiewa. Profesor Hawryluk nauczył nas także po łacinie „O mój rozmarynie”.

Pani profesor Randes Beżanka uczyła nas niemieckiego i uczyła nas piosenki. Oboje uważali, że najłatwiej się zapamiętuje język przez piosenki.

Była profesor Greczner, która miała z nami wychowa nie fizyczne, odbywało się one w takim dużym gmachu, w którym była taka duża sala gimnastyczna, bardzo dobrze wyposażona w różnych sprzęt. Budynek był nazwany Sokołem. Tak się chodziło na wychowa fizyczne.

Zbaraż bardzo mi utknął mi w pamięci. Wybuch wojny, zapamiętam ten dzień do końca życia. Ten dzień stał się dla nas początkiem strasznej niemalże gehenny. Mój Ojciec był komendantem policji państwowej we wsi Łubianki Wyższe, wsi znajdującej się na granicy polsko – radzieckiej. Posterunek był w domu, wynajmowanym od takiej jednej Pani, która miała

jeszcze jeden dom, dalej. W tym domu oprócz posterunku policji mieściło się mieszkanie dla rodziny mego Taty. Mieszkaliśmy w tym mieszkaniu, tuż obok posterunku. 19 września 1939.r pamiętam to dokładnie, może o 6 rano, może wcześniej to już te wojska armii radzieckiej były już w Łubiankach Wyższych, mało tego posterunek był już otoczony tym wojskiem ze wszystkich stron. To wojsko, dla mnie jako dziewczynki, która miała rzeczywiście niewiele lat, to wojsko radzieckie napawało strachem. Wynikało to może z tego, że było po prostu bardzo liczna ilość było tego, wszystko oczywiście uzbrojone. A przy tym uniform ich był inny niż naszego wojska. Mieli takie specjalne, taki kapelusik z takim na końcu węzełkiem. Ich cały uniform, kolor był taki nieprzyjemny, taki brudnawy był ten kolor. Płaszczki mieli takie wszystkie długie. To wojsko napawało strachem. Cały posterunek był otoczony. Budynek posterunku był przy takiej drodze murowance. Cała ta murowanka, jak człowiek popatrzył, była olbrzymia ilość tego wojska. No i mało. My mieszkaliśmy w tym samym domu. Był to duży dom, wynajęty, wynajęty dla policji i w pierwszej połowie tego domu mieściła się policja, a w drugiej połowie była mieszkanie dla rodziny, czyli mój ojciec, mama, ja i moich dwóch braci. Dom był otoczony parkanem drewnianym., Z obu stron były klomby z kwiatami, dbaliśmy o to. Ale kiedy oni wkroczyli, to uważali, że jeżeli my mieszkamy na posterunku to my jesteśmy do razu niebezpieczni dla nich, toteż w tym momencie w chwili wejścia kazali nam opuścić mieszkanie. Mieszkanie było przeszukiwane, bardzo dokładnie przeszukiwane. I myśmy już więcej do tego mieszkania wrócić nie mogli. Po prostu było zamknięte. Ponieważ uważali też, że skoro mieszkamy na policji, to dom jest jak policja państwowa, to nie jest mieszkanie zajmowane przez nas i płatne przez nas. Tylko wszystko należy do policji i należy nam wyjść z tego domu. I tak myśmy pamiętam, jak już wkroczyli, najpierw weszli na posterunek, długi ich przesłuchiwali tam wszystkich po kolei. Po długim okresie pozwolili się Ojcu pożegnać się z nami. Myśmy stali pod tym domem, mama z nami trojgiem, powiedzieli nam wyraźnie, że Ojciec jest wzięty do niewoli. Pod eskortą, był otoczony ze wszystkich stron, wyciągnięty z tego budynku, pożegnaliśmy się i to było ostatnio.... my jako dzieci ostatni raz wiedzieliśmy naszego Ojca. już nigdy więcej ojca nie widzieliśmy, To był ostatni dzień...19 września 1939 r. ostatni dzień, gdy widzieliśmy Ojca, został wzięty do niewoli przez armię radziecką. My z Mamą, z kolei zostaliśmy w tym dniu zupełnie pod domem, bo nawet do domu nam wejść nie było wolno. nie mogliśmy wejść do domu. Bo oni (Sowieci) uważali, że teraz to jest już wszystko państwowe i nie nasze. A skoro państwowe, to oni teraz - władza, która teraz wstąpiła do tej wsi to wszystko zostało zamknięte. Zresztą mało, w tej wsi, od raz też, ciekawie, ale widocznie po prostu mieli w tej wsi zaufanych. Bo kilka osób, zostało powołanych do tego, zamknęli ten posterunek i klucze były oddane grupie kilku ludzi, było ich 3 czy 4 gospodarzy, którzy mieli te klucze pod nadzorem do czasu, gdy oni (Sowieci) jako władza całkowicie wszystkiego nie przejmą.

Dom został zamknięty. Gdy nam zamknęli ten dom, to kierownik szkoły podstawowej w Łubiankach, jego godność była Sutyński, jak myśmy stały tak pod tym domem, podszedł do nas i mówi - słuchajcie, szkoła jest przecież tutaj, zostańcie w szkole, nie będziecie tutaj przecież nocować w polu. Przyjdzie tam i w szkole usytuujcie się do tej pory, gdy nie załatwicie sobie wszystkiego.

I faktycznie ten pan Sutyński nam pomógł, myśmy się wtenczas przenieśli do tej szkoły. I całą noc i cały dzień, niemalże, czekaliśmy aż nowa władza, która się utworzyła nie pozwoli nam wyjechać stamtąd.

...żeby w każdej wsi była pewna grupa Polaków, Żydów, i pozostała grupa Ukraińców.

My z mamą już tam nie zostaliśmy, Pozwolono mamie zabrać niektóre rzeczy, wszystkiego mama nie zabrała, pojechaliśmy do dziadków do Tok. Tam moja mam się urodziła, tam moi dziadkowie mieszkali i tam się przenieśliśmy oczywiście. To była duża wieś. Śp. Kardynał Władysław Rubin pochodził z tej samej miejscowości. Który w 1939 r. skończył gimnazjum i

studiował we Lwowie, bo nie było gdzie indziej możliwości studiować tylko we Lwowie. W tym czasie one jeszcze był w Tokach, ale później wyjechał. A my z kolei z mamą zostaliśmy u dziadków. To było przykre, bo jednak mimo wszystko dziadkowie byli dla nas bardzo dobrzy, nie brakowało nam niczego, to jednak brakowało nam ojca i brakowało tego co mieliśmy, bo jednak życie potoczyło się w innym kierunku.

I tam mieszkaliśmy, chodziliśmy do Kościoła, bo bardzo ładny. Mama nas codziennie prowadziła do Kościoła, była babcia która domem się zajmowała, prowadziła nas do Kościoła codziennie niemal prawie. I tak mieszkaliśmy mniej więcej spokojnie. Chociaż było niespokojnie Ponieważ w tamtej wsi były też nowe władze. Było takie jedno, drugie zebranie, na którym się zbierali ci gospodarze i wybierano w tej miejscowości tzw. deputatów. A ci deputaci to byli tak mniej więcej jak posłowie czy coś takiego, którzy mieli później po kandydowaniu... byli przenoszani do Kijowa, do Lwowa, różnie byli sytuowani. W każdym razie byli wybierani na tych takich zebraniach tak zwani deputowani. Do tych deputatów wybierano ludność najbiedniejszą. Tych bogatszych nie wybierano. To było nastawienie odgórne, że są ludzie biedni, chociaż w tej wsi nie było takich biednych ludzi. Ale niektórzy mieli więcej inni mniej hektarów. W tej wsi tych deputatów wybierano na specjalnych zebraniach. Myśmy na te zebrania nie chodzili. Ale dziadek nasz chodził na te zebrania, ponieważ był mieszkańcem tej wsi i chciał wiedzieć co i jak. Na tych zebraniach pierwszych jeszcze początkowo nie było jeszcze wywłaszczeń w tym sensie że nie zabierano rolnikom tę ziemię, tworzono kolchozy później. Ale jeszcze w tych pierwszych miesiącach jakżeśmy tam byli to nie, to była zima zresztą i wczesna wiosna. W każdym razie już chodziły słuchy o tym, że będą- ze tak powiem- deportacje.

Ze strachem o tym się myślało, ale człowiek liczył, że może to jeszcze jakoś się ułoży.

W każdym razie z 12 na 13, nocą to było już po północy nawet, zapukali do drzwi. Kazali dziadkowi otworzyć te dom i powiedzieli, że niestety córka i troje dzieci muszą wyjść z domu. Weszli do domu, było ich trzech panów z karabinami enkawudziści, którzy odczytali zarządzenie, artykuł z zarządzenia, który był wydany przez Kalinina, Kalinin to był wtenczas oczywiście w KC PZPR, w Komitecie centralnym. Odczytali nam ten artykuł Kalinina, że jesteśmy z tej miejscowości deportowani, nie określili nam dokładnie, gdzie, ale musimy wyjechać teraz już, 13, kiedy było prawie nad ranem.

Kazano nam się ubrać, zebrać ze sobą tylko żywność, ale tylko na krótki okres, bo później żywność będzie dostaniemy, pożegnać się i wyjechać. Dziadkowie też z nami wyszli razem z nami. Oni (Swieci) nie wiedzieli, że o tym, że myśmy u Dziadków zamieszkali byli tylko parę miesięcy, jak się wojna zaczęła. Oni uważali, że myśmy tam razem z nimi mieszkali. To oni tak samo powinni zostać deportowani. To oprócz tego, że nas czworo to znaczy nas troje dzieci i Mama, to tak samo kazali się Dziadkowi i Babci się ubrać. I tak samo na ten wóz, dość duży, z końmi, który stał pod domem. Kazali zamknąć dom i oczywiście wsiadać wszystkim do tego wozu. Ale moja mama, oczywiście... tym wozem z tych TOK, to gdzieś jakieś 18 km może więcej, wieziona nas do tak zwanej stacji Podwołoczyska, to była też stacja graniczna, ale to była jeszcze Polska, polskie miasteczko te Podwołoczyska, i polska wieś, ale pod drugiej stronie była już druga wioska, która należała do państwa do Związku Radzieckiego, które nazywała się Wołoczyska z kolei. I do tych Podwołoczysk zawieziono nas wszystkich, nas czworo i dziadków. Jak już przyjechaliśmy na tę stację, to na tej stacji był usytuowany olbrzymi pociąg z wagonami towarowymi. I tak samo, wokół, było pełno wojska. Mało, drzwi były otwierane w tym momencie jak odczytał, ten żołnierz, który stał, żołnierz radziecki, enkawudzista, który odczytał imię i nazwisko, były zapisane te wszystkie rzeczy. Mieli wykaz, że wsi, tych którzy ze wsi byli deportowani. I przy wejściu do tego wagonu otwierali pod eskortą, było ich 2 lub 3 już nie pamiętam nawet dokładnie, odczytywali nazwisko i musieliśmy do tych wagonów wsiadać. Był to wagon, dość duży oczywiście, w każdym razie i moi

dziadkowie też razem z nami, w sumie sześcioro osób. I mojej mamie wtenczas przyszła taka myśl, że to przecież jest niemożliwe, aby moi dziadkowie cierpieli przez ojca mego, który nigdy z nimi przecież nie żył, oczywiście w jednym domu. Bo zawsze mieszkaliśmy oddzielnie, a dziadkowie mieli swój dom i tam mieszkali od lat, od urodzenia. I wówczas mama pomyślała sobie i zapytała tego który pilnował ten wagon czy mogłaby się dostać do kogoś kto jest tutaj władzą jakąś, komendantem. I powiedział, że jest komendant, ale do komendanta to nie wolno, ale moja mama mówi, ale wiemy, rozumiemy, że nie wolno, ale jak mam wiedzę, że jestem tą a tą. I że rodzi moi są tutaj z nami. Chciałabym porozmawiać z panem komendantem i wytłumaczyć mu, że my jesteśmy deportowani, bo nam powiedziano, że ojca zabrano, a my jesteśmy niebezpieczni i mamy obowiązek wyjechać. Ale dziadkowie z nami nie żyli, my po prostu u nich parę miesięcy, nawet nie parę miesięcy, ale parędziesiąt dni u nich byli, w czasie, gdy nie mieliśmy gdzie mieszkać, bo nie mogliśmy mieszkać na tym mieszkaniu, na którym mieszkaliśmy. I ten komendant wysłuchał mamy, i powiedział faktycznie, że oni mają obowiązek zabierać tych, którzy tak jak mój ociec, czy dajmy na to czyjś syn, mąż koś innego z tych którzy byli deportowani. A mój dziadek nie miał syna. Moja mama była córką, ale nie była przez nich aresztowana ani nie miała żadnych na razie...po prostu ich zarządzenie, nic więcej

I proszę sobie wyobrazić, że ten komendant wysłuchał mamy, może parę godzin, może więcej, przyszedł nawet sam do tego wagonu i powiedział, żeby rodzice wyszli, że nie pojedą z nami, że są wolni. Dziadek z babcią tak popatrzeli, i nawet do mojej mamy mówi, wiesz my nie wierzymy, może nas gdzieś weź mą do innego wagonu. Ale faktycznie, mało, w tym samym dniu, gdy ich wypuścili w tym samym dniu oni się znaleźli w swoim domu.

A tam, do tego wagonu, nas było już czworo, tak myśmy się z tym tobołkami, w sumie nam pozwolono nam wziąć w sumie tylko 100 kg, to znaczy żywności i tego ubioru, który nam jest potrzebny na przebranie. Koniec. Reszta tam wszystko zostawało, jeszcze pamiętam, Mama zapytała, dobrze przecież ja tutaj mam swoje rzeczy, stamtąd zabrała skąd mieszkałam, mam swoje rzeczy. To niech zostaną, później zrobią protokół z tego. Ale nigdy nie zrobili, to już nic nie wróciło. Ale

Ale to już mniejsza o to. Proszę sobie wyobrazić, w tym samym dniu jak jeszcze dziadkowie byli (w wagonie) to przywieźli drugą rodzinę z Tok, z tej samej miejscowości. Okazało się, że to taka była rodzina, dość zamożna, a mąż tej pani, która była z synami deportowana i z matką jej męża, to on był sołtysem w tych Tokach, ten pan. Tylko, że był majątny dość, i sołtysem był, ale został aresztowany. Nie należał, nie był wojskowym żadnym, tylko sołtysem był i miał majątek dość duży. Oni też jego aresztowali, a ta zona z jego matką rodzoną, bo razem z matką rodzoną mieszkali. I ona się też, jak zobaczyła, że moi dziadkowie odeszli, to ona się starała, ale jej powiedzieli, że nie, że ona jest matką tego którego oni oczywiście aresztowali i że ona mieszkała ze swoim synem w jednym domu, którego aresztowali. I nie wypuścili tej staruszki. To już była staruszka taka, że jak ją wsadzali to ją nosili do tego wagonu. Więc jeszcze weszła ta rodzina Sokołowskich, pani sokołowska z dwoma synami i teściową. Był taki syn jeden i drugi, który potem jeden poszedł do armii Andersa i pod Monte Casino leży jeden z tych chłopców, a jeden wrócił. Ta druga rodzina usytuowała się w drugim kącie tego wagonu i jeszcze jedną rodziną, też cztery osoby były, także w sumie nas było w tych wagonie chyba 13 albo 14 osób. Żadnych urządzeń sanitarnych, nic. Także, po prostu, każdy w kąciku zaplakany, zastraszone siedział. I tak w tych Podwłoczyskach, póki oni nie zwieźli tych których zaplanowano wywieźć z tych Podwłoczysk, po 3 dniach, tylko tak też nie pamiętam, to wg mnie chyba było nocą padł rozkaz, że już ten pociąg wyjeżdża z tych Podwłoczysk i że jedziemy w kierunku Związku Radzieckiego. Przekraczaliśmy tą granicę przez te Wołoczyska wieźli nas dalej na wschód, gdzie wieźli nie wiedzieliśmy. Bo nawet jak Mama do tego komendanta poszła, to zapytała no dobrze gdzie...bo oni, aha jeszcze i ten pan, który nas zabierał z domu

od dziadków powiedział, że wy teraz jedziecie do mężów , do swoich mężów, co było kłamstwem. Jak teraz rozeznac to wszystko to 5 marca 1940 r. wyszło zarządzenie Stalina, na podstawie którego oni mieli likwidować wszystkie 3 obozy, które Ostaszków, Katyń i Charków, to mieli te wszystkie obozy likwidować do 31 maja 1940 r.

Ale równocześnie zaczęli wywózki i ten Kalinin, było już zarządzenie Kalinina, te rodziny, bo były te rodziny, jako oczywiście w ich widoku niebezpieczne już. Mimo, że dzieci i żony zostawały same, polityką się żadną nie zajmowały. Bo cóż, my dzieci, byłyśmy małe a mama zajmowała się dziećmi. No ale Ojciec wzięty do niewoli, koniec. Już byliśmy rodziną, która powinna nie istnieć na tym terenie. I proszę sobie wyobrazić, że tak ciekawie się złożyło, że już w lutym 1940 był pierwszy transport deportowanych, przed nami. A drugi transport był 13 kwietnia, a 13 kwietnia było już po rozkazie Stalina, o tym, że wszyscy mają być zlikwidowani do 31 maja. Niemalże ten rozkaz, który był wydany na rodziny tych oficerów, podoficerów i tych zamożnych ludzi, którzy byli oczywiście tymi wrogami Związku Radzieckiego, bo tak ich określano, to Kalinin wydał rozporządzenie o deportacji niemal w tym samym okresie, czyli było z góry powiedziane że tamci muszą odejść a te rodziny, te deportowane były sążone na 10 lat. W ciągu 10 lat, gdyby nie umowa generała Sikorskiego ze Stalinem to mam wrażenie, żebyśmy nie doczekali do tego abyśmy kiedykolwiek wrócili, bo przecież sąd na 10 lat na takie ciężkie warunki to byłoby może dla nas dziesiątkowane, Ale tak było. 13 kwietnia zabierali nas z domów, a 15 lub 16 kwietnia ruszył pociąg i wieźli nas, wieźli nas bardzo długo, bo wieźli nas przez prawie 2 tygodnie. Tyle tylko, że w czasie transportu zezwalano nam, raz w tygodniu, z każdej rodziny był ktoś wyznaczony, brali banieczki, wiaderko i szedł po tak zwany kipiatak, po gorącą wodę. Nie dostawaliśmy żadnego jedzenia. Oni nam zapowiedzieli, żeby zabrać jedzenie na 2-3 dni, bo tyle to miało trwać. A to trwało ponad 2 tygodnie. W każdym razie szli po ten kipiatak, pod eskortą i mama zawsze nam coś robiła, miała jakąś herbatę tam, to dostawaliśmy.

Punkty były wyznaczone przeważnie na stacjach i dostawaliśmy wodę gorącą. Oczywiście takie rozgrzanie się niemalże. Proszę sobie wyobrazić, że dopiero 26 kwietnia już pod wieczór dobrnęliśmy do tzw. stacji Pietuchowo. Na tej stacji kazano nam wynosić się z tych wagonów. Każdy miał przy swoich rzeczach stanąć. I szła taka kolumna i odczytywała te nazwiska, które były rejestrowane przy wejściu do wagonu i teraz przy wyjściu z wagonu. Do każdej podjeżdżały samochody, ciężarowe samochody i oczywiście nazwiskami kazano rodzinom się na nie ładować. Tymi samochodami już jechaliśmy tak, gdzie mieliśmy zostać 10 lat. Ten widok był może jeszcze przykrzejszy w ciągu jak jechaliśmy tymi wagonami. Pamiętam, to jakoś tak za Kujbyszewem, było dość, dość za Uralem było to w każdym razie, bo przez Ural jak jechaliśmy to wiedzieliśmy, że to Ural, bo widzieliśmy te góry przez okienka tych wagonów towarowych. Proszę sobie wyobrazić, że podchodziły dzieci z rybami, i prosiły o kawałek chleba. Więc pamiętam, że ten widok był tak bolesny, bo już wiedzieliśmy, że jedziemy w skrajną nędzę, bo skoro dzieci podchodzą proszą o kawałek chleba i widać, że te dzieci tak lichy ubrane. Więc ten pierwszy widok był dla nas okropny. Ale już drugi, gdy przyjechaliśmy do tej miejscowości, w której byliśmy przez całe 6 lat, to proszę sobie wyobrazić, rzeczy z tych samochodów ciężarowych kazano nam powynosić pod taki budynek tak zwany kantor, budynek urzędowy, w tym budynku urzędował przewodniczący tej miejscowości i jego współpracownicy. Każdy z nas stanął tam z całą rodziną przy tych tobołkach któreśmy mieli, i tam dość długo staliśmy i czekaliśmy na decyzję co z nami dalej, zimno, bo tak jak przyjechaliśmy to był jeszcze śnieg, bo to było już dość daleko, w głębi, północna część Kazachstanu, tak że było jeszcze bardzo zimno, i ten śnieg jeszcze był. No ale kazano się wyładować, więc się wyładowaliśmy no i czekaliśmy na decyzję władzy tamtejszej co dalej będzie z nami. Każda rodzina dostawała z tamtejszej ludności kogoś, kto prowadził tę rodzinę do miejsca, gdzie mają zostać. I pamiętam z kolei nas...jedna rodzina, potem wyczytują drugą rodziną, trzecią. Cztery rodziny do jednego jakiegoś miejsca jesteście przeznaczeni. No i

okazuje się, że jak przychodzimy do tego miejsca to była jedna wielka olbrzymia stajnia. Dosłownie stajnia. Pobudowana tak, jak te ich budowle były pobudowane. Drewniane, kawałki drewna, dosłownie drzewa, jedno na drugie były układane to drzewo. Olbrzymi ten budynek, dość długi. No i były okienka też w nich, prócz tego ostatnia część tego budynku, widać było, że jest takie okno większe z jednej i drugiej strony. Były dwa duże wejścia. Ten, kto nas prowadził...to jest świniarnik, tak to nazwał. To jest miejsce po świniach.

Skąd to było miejsce po świniach? Po prostu, świnie tam były, któregoś dnia – dowiedzieliśmy się, że przyszło zarządzenie, że te świnie zostały po prostu wywiezione na mięso gdzieś. I po tych świniach została ta stajnia, dość olbrzymia. Dzieci, swoją drogą takie małe, te mniejsze płakały okropnie, do stajni to one nie pójdą. Pamiętam mój brat, potem takie dziewczyneczki po 7, 8 lat, które taka pani miała też płakały, że do stajni to one nie pójdą. No, ale co. Nie było innej rady. Bo trzeba było pójść, bo raz, że zimno, po drugie noc. W związku z tym pamiętam, weszliśmy tam, że cała stajnia była puścusicienka, nikogo nie było. Ale tam taka, ostatnia przegrodzona tym drewnem, było wejście, były drzwi, była duża ponad 30 metrów izba dosłownie, w której były drzwi, dwa okna. I do tej izby wtłoczono nas 4 rodziny: moją mamę z nami trojgiem dzieci, obok nas taka pani Wodzisławska, pamiętam jej nazwisko dokładnie, dwie dziewczynki i brat jej był jeszcze. Te cztery osoby, pani Sokołowska, o której mówiłam, że była z nami w tym samym wagonie, to miała dwóch synów, tę babcię starą, którą tak samo wniesiono do tej izby. Ona, może półtora miesiąca tam żyła. W tej izbie nic nie było. Pusta izba, Dwa okna, mało tego, na środku tej izby, dosłownie na środku była kuchnia pobudowana, niska i na tym była taka płyta żelazna. Była taka dziura. Okazuje się, że co...to było kuchnia do karmienia małych prosiąt. Pod tym było palenisko. Dopiero nam wytłumaczono, że to była kuchnia, na której gotowano tym małym świniom. I teraz proszę sobie wyobrazić, tak...no więc, cośmy robili? Każdy z nas miał taki tobolek jakiś, cośmy mieli, tośmy tam, że tak powiem, po podcierali, aby móc jakoś do tego dnia przeżyć, aby jakoś przeżyć ten dzień. Swoją drogą, że płaczu było olbrzymie...i była wtenczas ta straszna druga, taki moment tego wyjazdu z tej Polski już przekraczając ta granicę, a drugi moment był też taki przykry, gdy się widziało te dzieci, które podchodziły.... z chlebem (prosiły o chleb), a trzeci moment to było to wejście do tego miejsca, w którym mamy mieszkać, mamy żyć. Bez niczego. Nie było nic od spania, ale pamiętam, że te dzieci nasze najmniejsze jakoś spały jakoś tam, widocznie zmęczone. A moja mama z nami, to już tak siedziała i tak perswadowała z nami co dalej robić. Przecież nie będziemy spać na tej ziemi, bo ta ziemia to jest raz zimna, mało, okazało się później, w następnym dniu, wiedzieliśmy o tym, że mieszkamy razem ze szczurami, ponieważ jak były tam te świnie to oczywiście jak myśmy tam miały coś do zjedzenia jakiejś kawałki sucharków czy czegoś to buszowały po tych rzeczach, były takie odważne, że pamiętam po głowach chodziły, to drugie wrażenie było tak okropne, że niw spałyśmy prawie, te dzieci mamy naszej i starsze dzieci nie spaliśmy i myśleliśmy, co my dalej będziemy tutaj robić, jak my to będziemy żyć w tym miejscu. W każdym razie było nas w sumie 4, 8, 13 osób było w tej izbie, było rojno, że tak powiem. Każda rodzina sobie tak w tym kąciuku usytuowała się. No, a na drugi dzień już myśleliśmy o tym jak żyć dalej, no wreszcie żyć dalej trzeba mimo wszystko miejsce zamieszkania zostanie taka prawda.

Na drugi dzień rano od razu jak powstawaliśmy to nasze mamy. Proszę Pana, było powiedziane przez tego pana przewodniczącego, że już w naszym następnym dniu, jeżeli już będziemy mieszkać śmiało mamy obowiązek pracy a oprócz tego wciągu, jeszcze nie mieli i nie byli przygotowani na to, ile jeśli nie będą się starać już jakoś tak żeby każdy z nas miał już pewne dla siebie jakieś miejsce, w którym będzie mieszkał. No to nasze mamy oczywiście i te panie i inne wszystkie zebrała się cała grupa tych ludzi, bo dość dużo było jednak nikt nie policzył a nawet nie wszystkie, ale było sporo tych rodzin i ojcowie nie ojcowie tylko matki dzieci starszych czy to tzw.

Mitingiem nazywali to decyzyjne będzie takie połączone oczywiście i tam. Moja mama też poszła na inni poszli i wtenczas oni już przeznaczyci, gdzie kto będzie więc myśmy te trzydzieści rodzin mieli już tam, że tak powiem zostać na razie nic innego, ale powiedział tak że będą budować baraki i będą budować baraki to wtenczas będzie się starał tak zrobić przewodniczący, żeby każda rodzina miała swoje i swój kącik nie 3 3/4 Rodziny Razem tylko żeby każda rodzina miała swój kącik. Ale to jest kwestia przyszłości, bo takie baraki jeszcze wtenczas nie zaczęto budować.

Więc proszę sobie wyobrazić. Przecież tam mamy zostać też zaczęła moja mama nawet tam m.in. moja mama była taka, że tak powiem mające nie dająca się tak słowem wybić i powiedziała. Nawet nie mamy łóżka i nie mamy nic, żeby mogły tam gdzieś spać tylko śpimy po prostu na tych swoich. No to powiedział, że jest tak że przewidział coś takiego i że odetnie kilka kilkadziesiąt takich desek i oczywiście że tak samo przywiezie, bo tam były jeszcze jedne żeśmy tam w tej miejscowości by nie były takie duże były takie Kępy, co jakiś czas takie skupisko tych lasów.

I rosły te brzozy i oni zarządził, że rzeczywiście te brzozy nie takie które będą się odbywały na to żeby na tych na kółkach umieścić te deski że każdy dostanie tam pewną ilość deski. No i żeby we własnym zakresie zmiany nie pomogą będą oni też żebyśmy sami sobie pomagali żebyśmy mogli mieć te łóżka jako takie na którym moglibyśmy się usytuowanej. No i faktycznie w tym dniu ci chłopcy tak jak mój brat byli też starsi też i ludzie z tego skoro pan generał który też był w tym deportowany z synem też miał takiego bo on z synem syn był jego jeden aresztowany a ten drugi młodszy syn był razem z nim i z żoną było ich troje a jeden pan skoro pada to był taki bardzo pomocny nam wszystkim kobietom po prostu był taki sprytny bardzo ten piec który byśmy mieli taki był nie bezużyteczny dla nas początkowo to pamiętam w drugim czy trzecim dniu przyszedł co do tego że zrobił gdzie dostał możliwość po prostu zrobił takie mniejsze możliwości na podgrzewanie czy wybudowanie sobie tego nie w tym takim dużym blacie zrobił takie cztery dziurki w których już każde z nas oczywiście gospodynie miały możliwość garnka jakiegoś usytuowania no i umocowania jakiegoś obiadu czy coś.

W każdym razie już zaczęliśmy zagospodarować ten pokój. No bo co mieliśmy zrobimy. Musieliśmy coś zjeść przed wyborami. Straszne to były czasy, ale tak faktycznie zaczęliśmy sobie sami radzić także już następnej nocy spaliśmy na tych łózkach, ale już na deskach i jakoś jesteśmy same sobie coś narobili pamiętam też były tam zezwolił na to ten przewodniczący, że jest siano, żeby pójść tam i porobić sobie takie silniki po prostu z tego siana. No i dał taką możliwość należy pamiętać, iż spaliśmy.

Były takie szerokie takie szerokie i zostały zrobione także spaliśmy na tym jednym łożu wszyscy czworo wbrew ja i to mój młodszy brat i mama....i ta babcia stareńka, też ja usytuowali, pamiętam ci wnukowie byli dla niej bardzo dobrze, dbali o nią. Wszyscy żalowali, wszyscy koło niej chodzili. Wszyscy dookoła i wszyscy, ale ani mówić nie chciała i ciągle tylko łzy jej ciągle leciały. Nic więcej. I pamiętam może półtora miesiąca cały czas chorowała i nie było lekarza. Synowa jak mogła takie herbatki robiła i jakoś jak mogła tak ją karmiła. Ale ona już nie chciała żyć. Ona mówiła do nas, że ona nie chce żyć, Boga prosi tylko żeby umarła, aby nie żyła, żeby nie patrzyła na to wszystko, bo to dla niej był okropne. Przecież

starsza pani ani ruszyć. A po drugie najgorsze to, że przecież wie pan to jeszcze szczęście to już było tak od wiosnę nie było żadnych urządzeń sanitarnych w ta jedna izba, bo i tak i teraz, i teraz tej i dziewczynki, i chłopcy i wszystko no i ci starsi. Co to było w tych pierwszych w tych dniach to było wszystko okropne przerażenie prostu było, bo później już troszkę cieplej zrobiło. No to był ten las blisko tego miejsca i to był las no to biegaliśmy do tego lasu oczywiście za swoją potrzebą a w każdym razie. No ale przyszła zima też musieliśmy jakoś się zorganizować. To pamiętam też robili to jakoś starali się robić w tej stajni takie miejsce zakrywali jakimś prześcieradłami, i tak to po prostu jakoś tak to wyglądało w praktyce nie było problemu. Bo latem to nie było problemu, las był blisko, były te zagajniki, można było sobie, jakoś lżej można było przetrwać. Zima była już dużo cięższa i dużo gorsza, mało, jeszcze wie pan oprócz tych szcurów żeby tak dotkliwie i nieprzyjemne to tym drewnie, było jest niesamowite i była niesamowita ilość pluskiew, bo to były te świnie. To też było wszystko zaciuchnięte, robactwo się gnieździło wszędzie. To pamiętam, bo później już jak się to dobrało do nas. To my też staraliśmy się to jakoś i jak można, to nie podpalali, bo to było drewno, tylko tym czymś tam zalewali. Tam Rosjanie już dawali coś, żeby to niszczyć. Ale tych szcurów to też długo długo męczyliśmy się, zanim je trochę uspokoić. No i proszę pana pewnego dnia, znaczy pewnego ranka. I to bardzo szybko to było po dwóch czy trzech dniach był znowuż miting, no i powiedzieli że wszyscy oczywiście, muszą iść do pracy więc chłopcy już tak jak mój brat i inni którzy mieli już po 18, 17 lat zostali oczywiście przydzieleni takim ?????? takim jakim mężczyznom którzy mieli te uprawnienia pilnowania ich jako pracowników i, mało, pilnowania doprowadzenia do tych miejsc pracy. To pamiętam chłopcy przeważnie byli usytuowani w lasach. W lasach różni te brzozy układali wywozili w odpowiednie miejsce tam, bo tam przecież były. Była to była ferma, to był sowchoz, trzeba zaznaczyć że była taka że Państwowe Gospodarstwo Rolne coś w tym rodzaju bo były też kołchozy to były też i inne rzeczy inne inaczej były rozliczani ci pracownicy którzy byli pracowali w sowchozach. To była niby piętnej byliśmy wynagradzani a ci którzy byli w zależności od tego uprawiali tak samo rolę wszystko w zależności od tego, ile mieli jaki mieli rzeczywiście z tego dochód to dopiero dzielili się dostawali tam zboże, czyli dajmy na to kaszy za tą pracę. W każdym bądź razie chłopcy wszyscy poszli do lasu i w lesie na wyręby lasów oczywiście z tym, żeby te lasy też były blisko by je dalej, bo te wsi, były dwie sprawy także żeby dość. Jedna o drugiej dość daleko. Dwadzieścia parę kilometrów do wsi tak jak myślę, że przynajmniej ten rejon, czyli powiatowe to miejscowość gdzieś musi jechać ponad 30 parę kilometrów do niej podejść i byle nie było i nie było ani samochodu ani nic nie dajmy na to, że konie ani tego, bo to wszystko co było to było już wszystko państwowe.

Speaker 1

Z miejscowymi był jakiś kontakt z ludźmi?

Speaker 2

To nie było tak od razu, ale mam wrażenie to było gdzieś latem. W każdym razie czy to był czerwiec czy lipiec. Pewnego dnia, każda z rodzin, musiała iść do tego rejonu, do tego powiatu, gdzie tam była przeprowadzona dokładna, że tak powiem, ewidencja. W tej miejscowości tak samo. Na drugi czy na trzeci dzień każde z nas przychodziło i mama wpisywała swoje dzieci, druga mama swoje dzieci, czy jak była sama to samotna, po prostu była ewidencja. Dokładna ewidencja tego społeczeństwa, które tam zostało przydzielone im. No więc, chłopcy szli do pracy tam. Teraz kobiety. Kobiety takie starsze jak moja mama była, czy inne to z kolei chodziły, albo to była wiosna to były w piwnicach ziemniaki pamiętam moja mama to poszła do tej piwnicy pełnej ziemniaków i przebierali te ziemniaki, tak jak normalnie w gospodarstwach się przebierało, bo już stare dajmy na to, czy zgniłe, przebierało się,

wyrzucało te zgniłe a pozostałe w innym miejscu się układało. To moja mama dla pewności jak się wiosna zrobiła zaczęło się już tam trawy rosnać. to były posiane niektóre rzeczy do ogrodu, były ogrody tak zwane, to w gradach były na przykład buraki były ziemniaki jeszcze były tam jeszcze co tam jeszcze było tego nawet nie pamiętam, to do plewienia tych ogrodów my już jako dziewczynki młode jako chłopcy tacy młodzi tam chodziliśmy. Też była taka pani Rosjanka, która oczywiście, zarządzała.

Ale chcę teraz wrócić do tego najważniejszego punktu, z którego może wynikać, wie pan, Sybiracy, że tak powiem, ci kazachstańscy. Proszę sobie wyobrazić, że tak początkowo oni byli wobec nas, też bardzo ostrożni. Dlaczego? Bo myśmy byli przysłani jako wrogowie Związku Radzieckiego i mało, nie wolno im było nam, tak początkowo, z nami rozmawiać, czy żeby oni nami rządzili, czy żebyśmy się do nich zbliżali. Ci chłopcy Polacy, dajmy na to jedne z tych Ruskich, a tak sami Polacy w grupie różni, bo chcieli, widocznie mieli i żeby tyle zrobili i a nie mniej. Ale moja mama, myśmy też jako dzieci pytali się tak, no to okazuje się, że to wszyscy skądś też deportowani. Tamtych autochtonów prawie nie było, i proszę pan była Kazaszka, która ze mną prawie do końca pracowała, nazywała się Bosta, Kazaszka, ale pamiętam, pytam się mamy naszej, zresztą po tym jak przychodziły z pracy to się już trochę lepiej zorientowały i okazało się, iż to właśnie ludność, nie tamtejsi autochtoni, ale z takich guberni innych guberni, Bóg wie, skąd jeszcze, z całej niemalże Rosji. Zresztą byli też, jak ta rewolucja była wcześniej może jakieś przed rewolucją sprawy, to już było po rewolucji, to co oni tam, kogośmy tam zastali, okazuje się, dlaczego? Też byli zamożni ludzie i tak samo może aresztowani byli dzisiaj mężowi albo coś to oni, proszę pana, żeby tam w tej miejscowości, żeby nie rozrabiali, bo mi wszystko zabierali, zostawiali bez niczego bo przecież nastąpiła całkowita kolektywizacja, po tej rewolucji to już nie była tylko tych gospodarstw prywatnych tylko było wszystko skolektywizowane, w związku z tym, gro z nich podpadało, jako wrogowie, też, jak i u nas byli też zamożni ludzie, deportowani byli tak samo i oni, Bóg wie skąd, tam jeden, na przykład pan był, że on za syna. I to przyszli w nocy mówi tak, pamiętam jak dziś to sama słyszałam, miał syna, był ten syn, rzekomo, zamieszany w jakiś oczywiście bojówki. No to za to został oczywiście, w nocy przyszli, zabrali go, bez sądu, bez niczego, nie było sądu. Więcej on go nie widział, a ich z tamtej miejscowości, gdzie byli też wysiedlili tu, z tym że oni nie widzę jak myślę za 10 lat tylko dosłownie już na stałe nim, na przykład jak oni chcieliby wrócić do swojej miejscowości to nie mogli.

Speaker 1

To Kazachowie?

Speaker 2

Nie, to różni byli. Ukraińcy, byli Rosjanie i między innymi Kazachowie. Proszę sobie wyobrazić Kazachowie deportowani w Kazachstanie.

Ja dopiero pamiętam jednego razu, z tą Bostą pracowałam, i ona powiedziała, że ona pojedzie na parę dni, nie będzie jej, bo jedzie do rodziny. Ja mówię, zaraz a rozmawiałam po ukraińsku dobrze, no dobrze to jest Kazachstan To jest twoja ojczyzna, chyba nie? Nie to nie moja. Moja jest dalej, bo okazuje się co jej ojciec, jej rodzina była taka zamożna, że mieli tyle bydła, tyle

wszystkiego, że jej rodzice nie wiedzieli, ile mieli tego była. Czyli byli bardzo zamożni. Zostali deportowani w inne miejscowości, a ta ich ziemia zabierana jako państwowa już własność. To była taka mieszanina tych ludzi. Ale tamta ludność była z lat 30tych, od których tam mieszkała, to już była, niemalże, oswojona z tym wszystkim. Ale, jak myśmy przyjechali to początkowo, to obok nas przechodzili, ale później mówili, myśmy przyjechali w 30tym, którymś roku (nie pamiętam dokładnie), tak jak wy. Nasza ojczyzna nie tutaj, tylko w jakiejś guberni czy coś. My już tutaj tyle, a tyle lat żyjemy. Tyle, że oni, wiem pan, już wciągnęli się w to, mało, oni już wtenczas, wie pan, to ci Rosjanie, których myśmy tam zastali, to niektórzy mieli już swoje domy. Nie takie, jakieś wielkie domy, ale pokój z kuchnią, dajmy na to, jakiś przedpokój, czy taką stajnię małą. Mało, niektórzy już mieli, nawet krowy trzymali, kury czy coś, jakoś się zagospodarowywali, bo oni wiedzieli, że na razie powrotu nie mają nigdzie. Pamiętam, jak nas już wywozili, to oni mówili tak. No Boże, za wami ktoś tam starał się, że wy wyjeżdżacie. A my nadal tu zostajemy, nie mamy widoków na to, żebyśmy byli wyjechali. Ta rewolucja cała, ta kolektywizacja, to zrobiła tam, taki ???, jak ja widziałam, tak jak ja słyszałam, zresztą od tych ludzi. Że oni, Bóg wie, gdzie mieszkali, musieli to wszystko oddać, bo zabrano im, aby to skolektywizować, to niektórzy opór stawiali, miał majątek, jak ta Kazaszka opowiadała, że oni mieli tyle bydła, że oni nie znali liczby. Mieli ser, masło, wszystko mieli. A tutaj przyszli i jeść nie było co. Tak że, jak oni to wszystko opowiadali, to człowiek się zorientował, no to mówiła moja mam, no to teraz wyobraźcie sobie, że jak my tutaj będziemy żyć tak ja oni, to do kiedy my się tak zagospodarzymy jak oni się zagospodarzyli. Kto będzie nam budował domy, kto? Jak my sami mamy dzieci i kobiety i dzieci tylko są. Myśmy wyjechali, a oni zostali, szans powrotu, jak to mówiła jedna gospodyni, nawet powrotu nie ma, aby oni mogli wrócić. Już odbyli te swoje kary, ile tam było tej kary. Bo różnie byli sądzeni. I na 8 i na więcej lat. Ci którzy odbyli tam te kary, to mówili, że im nie było wolno wracać po dobytciu tej kary, na swoje miejsce. Tylko mogli wyjechać gdzieś, ale nie do swojej miejscowości. I taka jest nasza historia. Nam też nie pozwolono wrócić na Kresy Wschodnie, tylko dali nas na ziemie zachodnie.